

Miękkie lustra

Wyznania szczerego entuzjasty teatru
PAWEŁ GŁOWACKI

Siedząc w małym pokoju przy czerwonym winie swych sześćdziesiątych urodzin, Walentyna (Maja Baratkowska) zobaczyła w powietrzu ławkę sprzed czterdziestu lat. Przyjście widma nie miało w sobie nic z gwałtowności. Żadnych gromów, żadnych blasków papuzich łun, żadnych nagłych, sinych kłębów. Tylko miękkość. Szmer prologu łagodnej opowieści. Przyjście po mchach.

Ławka była blisko, na wyciągnięcie ręki. Wszystko, co dawno już szeszeło, obróciło się w proch bądź w sepię martwych fotografii, w małym pokoju Walentyny znów było na chwilę bliskie i ciepłe. Tamta ławka, tamten park, tamten zmierzch, tamta ona – Walentyna dwudziestoletnia, i tamta Katia młoda, też dwudziestoletnia, Katia (Jagoda Pietruszkówna) przez Walentynę tolerowana w mieszkaniu jedynie z litości i z bezradności pamięci, Katia, która dziś uparcie niepokoi noce akordeonem i wysusza wszystkie flaszki miasta.

Dziś tylko to – udręka czasu przeszłego, skowyt akordeonu, deliryczne serpentyny starej Katii. A przecież kiedyś kochały. Czterdzieści lat temu w ogień by ruszyły za Walentym, panem wtedy pięknym jak sen jasny, a teraz, od nie wiedzieć jak długiego i pustego czasu – martwym. Kiedyś – tak, kochały. Niewybaczalnie mocno. W istocie – wciąż jest tak samo. Tylko że dziś ich miłość to tylko udręka przywoływania starych obrazów nad trupem. Wciąż i wciąż. Urodziny w urodziny, miesiąc w miesiąc, dzień w dzień. I tym też jest sztuka Iwana Wyrpajewa „Walentynki”. Portretem trwania.

Przy czerwonym winie sześćdziesiątych urodzin powietrze znów zmienia się dla Walentyny i Katii w miękkie zwierciadło. Odbija ich pamięć. Powtarza czas dokonany. Przywraca tamtą ławkę w tamtym zmierzchu. Zaraz usiadzie na niej Walenty (Paweł Kumięga). Zaraz podbiegnie młoda Katia (Patrycja Durska). Tam, niedaleko, w ciemnym rogu małego pokoju, przeszłość na powrót nabiera ciepła, a tu, przy urodzinowym stole, w kręgu lampy, starej Walentynie i starej Katii w oczach staje słony blask. I tak do końca.

Buszują w pamięci. Wspominają. Każda spotyka siebie w dalekiej przeszłości, każdej skacze pomarszczone serce, w każdej puchnie wielka niezgoda, że dni dawne dokonały się tak głupio. Mieszą się czasy. Zlepiają się epoki. Tu, w świetle – one. I tam, w ciemnym powietrzu – też one. Przyglądają się sobie wzajem. A może to sen? Jeśli tak – to kto kogo śni? I skąd wziąć pewność, że to stare śnią siebie sprzed lat?

Trwanie udręki zaklinania zamierzchłych obrazów. Trud-

no, bardzo trudno zmienić tę frazę w sztukę teatralną. Jeszcze trudniej wyreżyserować. No bo jak seans wywoływania duchów zamienić w sceniczne dzianie się? Zwłaszcza gdy autor nie pomaga – a Wyrpajew zdecydowanie nie pomaga.

Trzeba przypomnieć antenatów Wyrpajewa. Trzeba choćby tylko wymienić arcymistrzów opowieści ulepionych ze zwierciadeł, odbić, pomieszanych czasów, wiecznie powracającego echa, snów piętrowych i identycznych ludzi. Lustra w „Prologu” Leśmiana. Identyczne twarze w „Sobowtórze” Dostojewskiego i „Rozpaczy” Nabokova. Pomieszczone czasy w prozie Stevenso- na. Odbicia w filmowym „Rękopisie znalezionym w Saragossie” Hasa. Wreszcie ten, który w materii luster, snów, tańczących czasów i labiryntów poszedł najdalej. Borges i dwa jego opowiadania – „Tamten” i „Dwudziesty piąty sierpnia 1983” – gdzie Borges spotyka Borgesa.

Rzecz w tym, że główną troską tych opowiadaczy było – nie spłoszyć cudu, co się zdarza tylko w sztuce i snach, tej chwili zawrotnej, gdy człowiek spotyka siebie innego. Dobrze się stało, że Paweł Szumiec, reżyser „Walentynek”, dbał głównie o – nieuchwytność. Nie dla żartu każdy z aktorów ma w programie do przedstawienia przyporządkowany sobie jeden wiersz. Jeden ton, jeden smak, jedną małą, kilkukwiersową planetę. Baratkowska – Achmatowa. Durska – Cwietajewa-Kumięga – Brodski. Pietruszkówna – Jesienin.

Tak, pielęgnował nieuchwytność. Przedstawienie jego idzie po mchu, powoli, ostrożnie, spokojnie oddychając. Szumiec nie płoszy tajemnicy kruchego seansu duchów w małym pokoju na dnie nieogarnionego miasta. To jest dobre. Chwilami bardzo smakowite. Na zasadzie, jakiego przeoczenia więc Szumiec nie usłyszał, że w ostatniej pół godzinie Wyrpajew – męczy wręcz fatalnie?

Gdy się misternie lepi cud scenicznej pajęczyny – trzeba seans zamykać, gdy widz zaczyna oswajać się z cudem. Trzeba, bo inaczej zaczyna się nuda oczywistości. Zwyczajnie – Wyrpajew nie skończył, kiedy trzeba było. Pociągnął opowieść ponad miarę, przecenił wydolność swego dość ołowianego pióra – i w ostatnich trzydziestu minutach nawet pyszne aktorstwo Pietruszkówny było bezradne.

Żal. Żadna tragedia, nie. Zwykły żal. W końcu Szumiec wie, że ta opowieść winna być jak epifania. Wie, że fabularne wątki nic nie znaczą wobec powracających widm. Wie to wszystko, gdyż w pierwszych czterdziestu minutach jest na scenie tak, jakby zniknęła czeluść czterdziestu lat. I są tajemne sekundy, gdy mało brakuje, by młoda Katia otuliła palcami dłoni starej Katii i szepnęła: „Nie bój się...”.

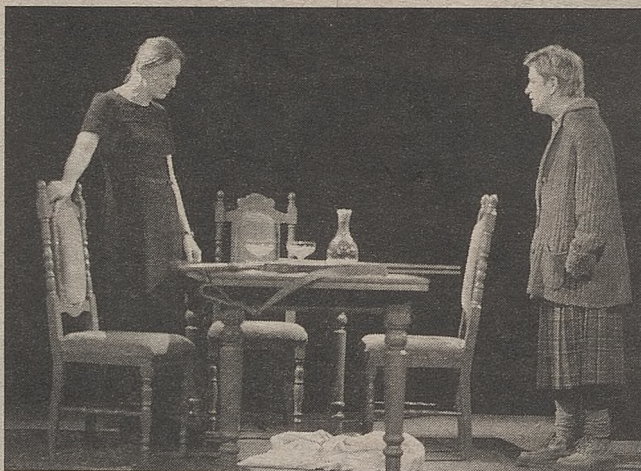
Teatr Ludowy, Scena pod Ratuszem. Iwan Wyrpajew „Walentynki”. Reżyseria Paweł Szumiec. Scenografia Marek Braun. Kostiumy Jolanta Łagowska.

„Walentyńki” Wyrypajewa to spektakl płynący z ducha Czechowa

Troje na huśtawce

Walentyńka, Walentyńka, to pierwsza w świecie podniebna miss, jej imieniem więc się zaczyna najnowszy Walentyńka Twist. Tak przed 40 laty śpiewał zespół Filipinki, sławiąc imię Walentyńki Tierszkiej, pierwszej kobiety w kosmosie. Oczywiście obywatelki ZSRR. Minęły lata, nie ma już Związku Sowieckiego, coraz mniej ludzi pamięta o Tierszkiej. We współczesnej Rosji imię Walentyńka kojarzy się przede wszystkim z Walentyńkami, Świętem Zakochanych, zaimportowanym ze zniechęconego ongiś Zachodu. Taki właśnie tytuł, „Walentyńki”, nosi opowiadający o miłości spektakl Iwana Wyrypajewa, wystawiony przez Pawła Szumca na Scenie Pod Ratuszem Teatru Ludowego w Krakowie.

„Walentyńki” to rozgrywana się na kilku planach opowieść o dwóch kobietach kochających tego samego mężczyznę. Jedną była jego żoną, drugą kochanką. On umarł przed laty, one mieszkają razem, żyjąc wspomnieniami, wypominając sobie dawne przewiny. Posługując się metodą kolej-



Maja Barełkowska (Walentyńka) i Jagoda Pietruszkówna (Katia)

FOT. JACEK KOZIOL

nych przybliżeń Wyrypajewa i Szumiec odsłaniają kulisy powstania tego skomplikowanego układu – do zerwania Walentyńka z narzeczoną, która została w końcu jego kochanką, doszło wskutek intrygi jego późniejszej żony.

Taka historia mogła zdarzyć się wszędzie. Także tam, gdzie Katia (znakomite – w dwóch planach czasowych – Jagoda Pietruszkówna i Pa-

trycja Durska) byłaby gwiazdą filmową, a nie konduktorką, gdyby na urodzinach Walentyńki (równie świetna Maja Barełkowska) pojawiał się tort czekoladowy a nie miska blińców. Ale te właśnie realia, wpisane w tekst przez Wyrypajewa, skrzętnie podkreślane przez Pawła Szumca, nadają przedstawieniu znany skądinąd koloryt.

Bo „Walentyńki” to opowieść płynąca gdzieś z ducha Antoniego Czechowa. Ożywiająca czechowskie dramaty ludzi, którzy nie mogą żyć bez cierpienia, którzy nie potrafią podjąć żadnej decyzji, zerwać z chorym, niszczącym całą trójkę układem. Opowieść nie o Nowych, wyzwolonych, podbijających świat, ale o zwykłych „Ruskich”, borykających się wciąż z problemami, jakie dręczyły ich przodków w XIX wieku.

Wyrypajew i Szumiec, snując swą miłosną historię, mówią w tym spektaklu przede wszystkim o Rosji, w której tak naprawdę nic się nie zmieniło – mimo zachodzących tam zmian cywilizacyjnych. Mówią o duchu rosyjskim, wcielonym tu w dusze żony i kochanki, dwóch sióstr, jak same siebie nazywają. Bo ten duch rosyjski wydaje się być nieśmiertelny – trwając ponad epokami – co wspaniale kulminuje w finale tego spektaklu, kiedy z głośników rozlega się zaaranżowany na rockowo hymn rosyjski, a całe przedstawienie kończy mocne, rzucone także przez głośnik, krótkie: Wsio.

WŁODZIMIERZ JURASZ

Scena pod Ratuszem

Wysilone mruganie do widza

•• Historię dwóch kobiet zakochanych w jednym mężczyźnie Paweł Szumiec starał się opowiedzieć lekko, dowcipnie, z dystansem, ironią, ale i z zadumą. Nie wyszło.

Zamiar wprowadzenia i użycia lekkości, dystansu itp. ujawnia reżyser (i aktorzy) od samego początku. Maja Barelkowska (Walentyna), szykując się do urodzin, mruga do widzów. Mruga i mruga, puszcza oko, żebyśmy nie mieli wątpliwości: historia miłosna nie będzie pokazana prosto i melodramatycznie. Ale sposoby wytwarzania dystansu sprowadzają się do nadekspresji. Barelkowska deklamuje i stroi miny. Zamaszyście szasta się (z akordeonem, strzelbą, butelką wódki) po scenie Jagoda Pietruszkówna jako wieczna rywalka Walentyny, alkoholiczka Katia. Może miałaby szansę na stworzenie postaci groteskowej i wzruszającej jednocześnie, gdyby nie to, że widać głównie szwy roli, a nie rolę.

Na tę chorobę cierpią wszyscy. I cały spektakl, pracowicie poskładany ze scen z teraźniejszości oraz przywołujących przeszłość. Z mor-

derezą - i irytującą - regularnością przegradzanych (bądź ilustrowanych) rosyjskimi piosenkami, mającymi zapewne wprowadzić nieco lokalnego kolorytu. W dodatku aktorów ciągnie w kierunku melodramatyzmu, ów nieszczęsny dystans przepłatają duszoszczypielnymi wstawkami, równie nieszczęsnymi.

Czasem udaje się wykrzesać nieco absurdałnego humoru - niestety dopiero pod koniec spektaklu, gdy Patrycja Durska, grająca do tej pory młodą Katię, zamienia się w gapowatego i naburmuszonego aniołka z wielkimi skrzydłami. Razem z Walentynem (Paweł Kumiega), grającym równie podejrzanego księdza, patronują tańcowi Walentyny i Katii, wiecznych rywali - nienawidzących się i niepotrafiących bez siebie żyć. ●

JOANNA TARGOŃ

Teatr Ludowy, Scena pod Ratuszem.
Iwan Wyrpajew „Walentynki”.
Reżyseria – Paweł Szumiec,
scenografia – Marek Braun,
kostiumy – Jolanta Łągowska.
Premiera 2 lutego 2007

MATEUSZ SKWARCEK





Walentynkowy gejzer uczuć

Rozmowa z **PAWŁEM SZUMCEM**,
reżyserem najnowszej premiery w Teatrze Ludowym

- Po sukcesie nagradzanego spektaklu *Wszystko o kobietach* po raz kolejny postanowiłeś penetrować charaktery płci pięknej, realizując w Teatrze Ludowym *Walentynki*, których premiera odbędzie się w piątek, 2 lutego. Czyżby to wynikało...

- Z mojej miłości do kobiet... - chciałaś zapewne powiedzieć?

- Nie zaprzeczam.

- I masz rację. Kobiety są tajemnicze, nieodgadnione i dlatego, tak naprawdę, nigdy wszystkiego o nich się nie dowiemy. Ale warto im się wciąż przyglądać, szczególnie jeśli ma się do czynienia z tak dobrą sztuką jak *Walentynki* Wyrzypajewa. Prawda jest taka, że ten tekst mnie znalazł i bardzo się z tego cieszę. Sztukę dostałem do lektury od Jagody Pietruszkówny, która gra w naszym spektaklu. Urzekł mnie mozaiką nastrojów i zobaczyłem, że jest w pewnym sensie kontynuacją niektórych myśli zawartych w utworze *Wszystko o kobietach*. *Walentynki* to tragikomedia będąca mieszanką nastrojów komediowych i tych serio. Może nieco głębiej drążąca psychikę kobiet? Nie, nie chcę absolutnie wartościować obu tekstów.

- Z pozoru rzecz wydaje się banalna, gdyż dotyczy trójkąta małżeńskiego...

- Ale tylko z pozoru. Bohaterkami są dwie 60-letnie kobiety, które przez wiele lat kochały tego samego mężczyznę. Jedna była jego żoną, druga - kochanką. Walentyna i Katia przywołują przeszłość,

wspominają lata miłości w momencie, gdy Walentego nie ma już wśród nich od dwudziestu lat. Bez wątpienia bohaterem tego utworu jest miłość, ale też jej czas, który uruchamia w obu kobietach nieraz skrajne wręcz emocje. Te gry z czasem są bardzo interesujące i kuszące.

- I zapewne są nie lada wyzwaniem dla aktorek?

- Oczywiście. Żonglowanie emocjami z przeszłości i z teraźniejszości, pokazywanie procesu rodzenia się i umierania uczuć kobiet, które od lat skazane są na siebie, to świetny materiał dla aktorek. W tym tekście urzekł mnie fakt, że Wyrzypajew nie idealizuje miłości, lecz pokazuje różne jej fazy: szczęścia i nieszczęścia, budowania i burzenia. Bo przecież miłość w każdym wydaniu jest siłą potężną. Sądzę, że dotykając tej cienkiej materii, dostarczymy widzom - mam taką nadzieję - prostych wzruszeń, radości i refleksji. Ale nie tworzymy też melodramatu z gotowymi odpowiedziami, chcemy natomiast wciągnąć widza w zadawanie prostych pytań. Miłość w *Walentynkach* to nie tylko relacje między kobietą a mężczyzną, one dotyczą również Kati i Walentyny, one też są w pewnym sensie ofiarami miłości. Rzecz rozgrywa się trochę we śnie, trochę na jawie, ale oba te światy różnią się od siebie. Tak samo jak często różnią się emocje związane ze zdarzeniami sprzed lat od emocji, które towarzyszą nam, gdy

te zdarzenia przywołujemy. Wspominając, często idealizujemy przeszłość, bo chcemy pielęgnować w sobie tylko pozytywne obrazy.

- Lepiej rozumiesz kobiety po kolejnej pracy z nimi i nad sztuką o nich?

- Zapewne, choć broń Boże nie chcę uchodzić za reżysera, który zajmuje się wyłącznie damską psychiką. Nie zapominajmy, że w *Walentynkach* istnieje też mężczyzna, i to nie tylko jako katalizator wspomnień. Jesteśmy świadkami jego miotania się, braku umiejętności podejmowania decyzji, życiowego zawieszenia pomiędzy kochającymi go kobietami, które w pewnym sensie ubezwłasnowolniły go. Krótko mówiąc, w tym utworze mamy do czynienia z gejzerem uczuć, które czasami wzruszają, czasami śmieszą, a nieraz przerażają. Tę historię staraliśmy się opowiadać lekko, dostrzegać w niej komizm ludzkich zachowań, które nierzadko uznajemy za dramatyczne. Bardzo bym chciał, by widzowie, choć chwilami, dostrzegli w tym spektaklu samych siebie.

Rozmawiała: **JOLANTA CIOSEK**

Iwan Wyrzypajew, *Walentynki*, przekład - Andrzej Bubiń, reżyseria i opracowanie muzyczne - Paweł Szumiec, scenografia - Marek Braun, kostiumy - Jolanta Łagowska. Występują: Maja Barełkowska, Patrycja Durka lub Agnieszka Kawiorska, Jagoda Pietruszkówna, Paweł Kumiega. Premiera 2 II, godz. 19, Scena Pod Ratuszem. Kolejne spektakle: 3, 4, 11, 14 i 17 II.

Magia intymności

Rozmawiamy z Pawłem Szumcem, reżyserem teatralnym – o jego nowym spektaklu „Walentynki”

■ Dziś na Scenie Pod Ratuszem krakowskiego Teatru Ludowego odbędzie się premiera Pańskiego nowego spektaklu, „Walentynki” Iwana Wyrypajewa. Jak trafił Pan na ten tekst?

– To raczej ten tekst trafił na mnie. Jedną z aktorek Ludowego, Jagoda Pietruszkówna, przyniosła go naszemu kierownikowi literackiemu, czyli Marynie Klotzer. Ona zna moje gusta, po lekturze powiedziała: Przeczytaj, to jest coś dla ciebie. I było.

■ Wyrypajew, młody pisarz rosyjski, jest już w Polsce nieźle znany...

– Tak, grywa się go dość często. To będzie już co najmniej czwarta realizacja „Walentynki”, wystawiała je m.in. w Łodzi Barbara Sass. Chętnie grywane są też inne jego teksty, „Tlen”, „Sny”.

■ To nie pierwszy Rosjanin, który trafia na Scenę Pod Ratuszem...

– Rosja przeżywa prawdziwy rozkwit młodej dramaturgii. W tej chwili w repertuarze naszego teatru jest także „Gąska” Mikołaja Kolady w reżyserii Tomasza Obary. Pod Ratuszem powstanie więc swoisty dyptyk rosyjski, konfrontujący dwóch ważnych autorów rosyjskich młodego pokolenia.

■ O czym opowiada spektakl?



Paweł Szumiec podczas próby

FOT. JACEK KOZIOL

– To kameralny dramat opowiadający historię jednego mężczyzny i dwóch kobiet. Jedną jest żoną, drugą kochanką nieżyjącego już bohatera. Śledzimy ich losy na przestrzeni 40 lat. Obie kobiety mieszkają razem i żyją wspomnieniami, które uruchamiają rytuały wzajemnych nienawiści, oskarżeń, ale i łączących je skomplikowanych uczuć. Spektakl rozgrywa się w kilku planach czasowych – akcja łączy się podczas 60. urodzin Walentyny.

■ Jak dowodzi Pańskie poprzednie przedstawienie na tej samej scenie, „Wszystko o kobietach”, lubi Pan kame-

Nie jest bowiem tak, że szczególnie atencją darzę małoobsadową dramaturgię. Choć, nie ukrywam, bardzo lubię intymność pracy w małym zespole. W małej przestrzeni międzyludzkiej tworzy się niekiedy magiczny rodzaj porozumienia. Zwłaszcza, gdy dzieje się to w tak magicznym miejscu, jak Scena Pod Ratuszem.

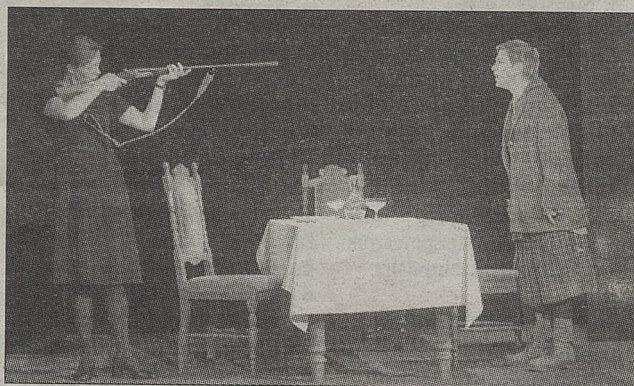
■ Czy na scenie znów zobaczymy Pańskie ulubione aktorki? Bo nie zaprzeczy Pan, że ma Pan swoje preferencje...

– Każdy aktor, każda aktorka, z którymi pracuję, stają się moimi ulubionymi. A taką obsadę – Maja Barełkowska, Patrycja Durska na zmianę z Agnieszką Kawiorską, Jagoda Pietruszkówna i Paweł Kumięga, po prostu sobie wymarzyłem.

ROZMAWIAŁ WŁODZIMIERZ JURASZ

ralne spektakle opowiadające o płci pięknej?

– To wszystko zdarza się jednak trochę przypadkowo.



Maja Barełkowska jako Walentyna i Jagoda Pietruszkówna (Katia)

FOT. JACEK KOZIOL

Wielki tort z blinów i samotności

„Walentynki” Iwana Wyrypajewa w krakowskim Teatrze Ludowym to przestroga, że: „Kochać nie warto, lubić nie warto / Jedno, co warto – upić się warto”. Tak po rosyjsku, z przytupem

Ten Walenty nie był święty. Od 20 lat nie żyje. Zostały po nim wspomnienia i wspominające go kobiety. Walentyna 14 lutego 2012 roku tradycyjnie obchodzi urodziny. Tym razem 60. Jak zwykle nikt nie przyjdzie z życzeniami. Poza Katią – pijaczką, współlokatorką, jej jedynym wrogiem i przyjacielem. Kiedyś Katia mniej piła. Jeździła pociągami wte i wewte, kasowała bilety i kochała Walentego. Życie im się popłatało, powietrze uciekło z balonika, który Wala ciągle trzyma w dłoni. Balonik jest niebieski, ale wspomnienia czarne. Walenty ożenił się z Katią, nie z Walą. Tak wyszło. Walentyna została jego kochanką. Tak wyszło. Teraz kobiety mieszkają razem. Za ciasno im we dwie. W odkładającym się latami, podrasowanym alkoholem impiecie nie zauważyły, kiedy ich dawna nienawiść zamieniła się w przyjaźń. Spektakl Pawła Szumca jest delikatny. Rosyjska czarnucha – tak silnie obecna w dramacie Wyrypajewa – została złagodzona tęsknotą. Za ubiegłym wiekiem, o którym kilkakrotnie wspomina Walentyna. Bo zawsze będzie przecież jakiś „ubiegły wiek”. To był wspólny czas,



Maja Barelkowska
i Patrycja Durska
w „Walentynkach”

kiedy można było jeszcze pisać (nie esemesować) o miłości, a tęsknota za Moskwą mityczną stawiała się tęsknotą za każdą krainą lat dziecięcych. Jeśli nawet u Szumca pojawia się groteska – choćby Gorbaczow zaklęty w wątek-wstańkę – to nie jest tanim szyderstwem, raczej pochyleniem się nad losami kraju i świata, który i tak zawsze przegrywa z perspektywą osobistą, ludzką i prywatną. Bo w mieszkaniu Walentyny nie ma Gorbaczowa, Lenina i konduktora,

jest tylko natrętna sąsiadka 60-letniej tęsknoty: samotność. Katia znalazła substytut. Upija się codziennie. Zapija do granic śmieszności. Po rusku, z desperacją. Walentyna jest trzeźwa. Udaje silną, chociaż jest bezradna. Maja Barelkowska zagrała w tym przedstawieniu swoją najlepszą rolę. Wchodzi na scenę ze zdziwionym uśmiechem i zwraca się prosto do widzów. Jej uśmiech powraca nieustannie. Ale nie jest naiwny, tylko ironiczny i bezwzględny.

Barelkowska w Walentynie zawarła jakiś osobisty żal do losu: o wielkie role, których nie zagrała. Bo tak się ułożył jej los. Zawodowy los, indywidualne walentynki. Aktorka, którą pamiętamy przede wszystkim z „Dekalogu” Kieślowskiego, uśmiecha się dzisiaj smutno. I czeka. Jak jej bohaterka.

Krakowskie „Walentynki” to kolejna – po wersji łódzkiej, warszawskiej, katowickiej i częstochowskiej – inscenizacja tekstu Wyrypajewa, który z kolei wiele zawdzięcza sztuce Michaiła Roszczi-na „Walentyn i Walentyna”. Wersja bardzo udana. Paweł Szumiec po prostu zaufał inteligencji tekstu. I wygrał. Niby jest jak jest: Walentyna siedzi z Katią, jedzą obrzydliwy tort z blinów i wspominają. Że był kiedyś jakiś mężczyzna, mięczak, i były konkurentki do jego ręki. Odważne i piękne. On jednak umarł, one żyją. Młoda, śliczna Katia – bardzo dobra Patrycja Durska – jest dzisiaj siwa i nosi grube rajstopy (Jagoda Pietruszkówna). To, co dobre, już było. Dawno temu było. Zostały stare piosenki, wielki, biały parasol i jedna strzelba z dwoma nabojami. Na szczęście to ślepaki.

Łukasz Maciejewski

WALENTYNKI
Iwan Wyrypajew, reż. Paweł Szumiec
Teatr Ludowy w Krakowie
Premiera: 3 lutego